

# Szekspir u Horzycy

„Młody, pełnokrwisty chłopak zakochał się od pierwszego wejrzenia w czternastoletnią dziewczynię. Ona w nim. Kochają się, mimo że dzieli ich nienawiść rodów, do których należą. Kochają się na życie i śmierć, bo nawet ona nie potrafi ich rozłączyć... są gorąco-krwistymi, pełnymi temperamentu wcześniej dojrzewającymi Wiochami“.

Tak oto pisze pani Teresa Moszkowska w tygodniku „Odra“ (6. 7. br.), poprzedzając właściwą recenzję Romeo i Julii, granej przez teatr toruński, krótkim wstępem o sobie i Szekspirze.

Czytając słowa recenzentki (nie spotkaliśmy się dotąd z tym nazwiskiem) czujemy dreszcz emocji. Ten „pełnokrwisty“ Romeo i ta Julia namiętna uderzają nam do głowy. — Widzimy nozdrza młodzieńca falujące gwałtownie, oczy krwią nabiegłe... — Cóż za bajeczne przeżycie ominęło widownię Torunia! I to wszystko przez Horzycę! Bo „w inscenizacji toruńskiej nieśmiertelne dzieło Szekspira zostało pozbawione zupełnie namiętności i ognia“. Otóż to. I po cóż zabierać się do reżyserii, skoro się nie potrafi tego zrobić? Już, już — o włos prawie — byliśmy od nastroju „Celestyny“ Ferdynanda de Rojassa. Trudno. Przepadło.

„Najważniejszy moment poznania się i zawiązania miłości rozpiął się we mgłę metafizyki reżysera. Najbardziej uroczy flirt (jeśli można użyć tego słowa), jaki zna literatura dramatyczna, stracił cały smak i dowcip, zrobił się nienaturalny i nieefektowny. W scenie balkonowej za mało namiętności. Kochankowie za mało zajmują się sobą, poświęcając wiele uwagi

deklamacji... (i dalej) ... nie wyszła przez to w tej scenie przemożna opanowująca oboje — chęć posiadania się już, zaraz“. I rzeczywiście. Nie wyszła. Aż złość ogarnia na tę całą deklamację, którą Horzyca osobiście wykonypował w jak najbardziej nieodpowiednim momencie, każąc deklamować Julii:

„Nocy przyjdź! I przyjdź Romeo.

Ty dniu wśród nocy! Na jej czarnych skrzydłach

Ty zajaśniejesz, jak na skrzydłach kruka

Śnieg świeżo spadły. Przybądź, lasko, pełna,

Daj mi Romea — a gdy umrze, weź go I rozdziel w małe gwiazdki...“

Trzeba przyznać, że pomysł dobry nie był, jak również i ten, gdy Romeo na wieść o śmierci ukochanej deklamuje za Horzycą: „O gwiazdy, rzucam wam wyzwanie!“ Albo przy grobie Julii:

„Zostanę z tobą, aby już nie wyjrzeć

Z pałacu mrocznej nocy...“

Tu mój wieczysty odpoczynek, tutaj

Z ciężarem życia strudzonego karku Fatalnych gwiazd otrząsnę

jarzmo...“

„Fatalnych gwiazd otrząsnę jarzmo... Swoją drogą ta metafizyka Horzycy — to jednak nonsens. Czyż nie lepiejby brzmiało:

— „Julio, dość tych komedii. Wstań! Nic ci nie jest. Grobowe faramuszk. Chodź, ale już, zaraz! oto nasze łożo, zasłoń je kotarami — jesteś moją kobietą“.

To: „moją kobietą“ — wymawia pełnokrwisty Romeo ze specjalną namiętnością (Gołębowski był do niczego w tym momencie, choć nie jego to wina, bo „brak

temperamentu i uczucia wynikał z narzuconego przez reżysera stylu całego przedstawienia“).

W ogóle zblaznili się wszyscy po kolei. Bo (choćby taki Torwirt — dekorator. Coż najlepszego zrobił? „Oświetlony w ostatniej scenie jasnym reflektorem bukiet czerwonych róż, mających być niby symbolami miłości — był jedynie dowodem złego smaku“. Otóż właśnie. I jak taki dekorator wygląda? A wszystko przez lenistwo? Trzeba było do Łodzi pojechać, „Celestynę“ obejrzeć — tam się różami nikt nie bawił. Tam było życie... i lekka kotara, cienie kochanków i w alkwie łoża.

Czyż uratuje nas teraz to, że „Zdzisław Saleburski zagrał bezbłędnie scenę śmierci... Antja... dobrze nienawidzi, za mało czuły; Janusz Obidowicz — Parys — sympatyczny... Kaniowski (Laurenty) — poprawny“. Czyż uratuje nas ta wnikliwa ocena poszczególnych odtwórców ról? Przecież! Nawet i to nie uratuje, że Kaniowski nigdy nie grał Laurentego...

Uratują nas może cienie Modrzejewskiej — odtwórczyni Julii, o której recenzenci amerykańscy z entuzjazmem pisali, że „była wcieleniem poezji“, przeciwstawiając jej wspaniałą interpretację sławnej amerykańskiej aktorce Neilson, która mylnie pojmowała Julię jako „pełną kokieterii zmąsłową dziewczynę“. Na miły Bóg! — Cóż wyzwołać może Toruń od hańby, która spadła na nas — z bardzo pożytecznej na naszym terenie „Odry“, redagowanej przez p. Wilhelma Szewczyka?

Już wiem! Szekspir! Trzeba po prostu przeczytać tekst Romea i Julii — może znajdziemy w nim bodaj cokolwiek, co by usprawiedliwiło Horzycę i tę jego okropną metafizykę. (Chodzi nam o honor miasta).

Coś mi się przypomina... jak to było... w tym ogrodzie Kapuletów? Czy nie tymi słowami Romeo do Julii mówił:

„O przemów jeszcze, ty promienna! Jesteś

Nad moją głową w tej ciemności nocnej, Jak nieb skrzydlaty poseł dla ośnionych Śmiertelnych wzroku, który jest

przykuty  
Do tej postaci, pośród chmur leniwych,  
Przez atmosfery przestwór żeglującej...“

(akt II, scena 2)

To coś... jakby pojęcie pitagorejskiej muzyki sfer... Dzięczyna modlitwa śmiertelnych błakająca się między wirującymi w przestrzeni — gwiazdami, co zrodziły miłość — siłę potężną z kosmosu począta i kosmos poczynająca.

Ten szekspirowski „wydźwięk“ (co byśmy zrobili bez tego cudownego wyrazu, który tak ostatnio wzbogacił nasz ubogi język?) — nadaje, jak gdyby pewien sens interpretacji Horzycy.

Dobrze jest czasem zajrzeć do tekstu, gdy się pisze o jakimś dziele. Zawsze to trochę pomaga. Bo to i myśl nowa jakaś wpadnie do głowy i przynajmniej, skoro do innych miast recenzja p. Moszkowskiej trafi i ludzie tam się dowiedzą, co o nas piszą, to gdy znów nasze usprawiedliwienie przeczytają — pomyślą sobie: w tym Toruniu jednak i Szekspira czytają... hm... hm... i przychylniej na nas popatrzą — a o to właśnie chodzi, bo Horzycy już nic nie pomoże. Po tej recenzji — ino węzełek spakować i z Torunia... a... / Bo i jakże zostać tutaj może człowiek, co na pytanie nasze:

— Co ma pan na swoje usprawiedliwienie?

Odpowiada metafizycznie:

— Nie umiem poprawiać bogów.

Proszę. Nie dość, że z Szekspirem piwa nawarzył, teraz znów Duerrera włącza do całego galimatiasu. Po to chyba, żeby znów ktoś słusznie o nim źle napisał, a To ruń rumienił się się ze wstydu — za Horzycę.

Maria Krzemieniowa